Nr. 4. Kwiecień 1890. **Rok IV.**

Wychodzi w Krakowie co miesiąc. Wkładka roczna wraz z prenumeratą czyni 1 złr. 50 ct.; dla nauczycieli szkół ludowych i uczniów szkół średnich 1 złr. z przesyłką.

OPIEKUN ZWIERZĄT

DOMOWYCH i POŻYTECZNYCH.

ORGAN

◁ KRAKOWSKIEGO STOWARZYSZENIA ▷

OCHRONY ZWIERZĄT.

ADMINISTRACYJA i EXPEDYCYJA w Krakowie, ul. Dolnych Młynów, l. 5. p. I., dokąd wszystkie przesyłki, wkładki i prenumeraty adresować należy. Członkowie krakowsk. Stow. ochr. zw. otrzymują czasopismo bezpłatnie.

...bo kiedy już nie masz przyjaciela, **pies i koń** i każdy twór żyjący, co do niego należał, wzbudza miłe uczucie w sercu i duszy.

Czajkowski, **Wernyhora**. 1862, p. 78.

Odpowiedzialny redaktor: **Bronisław Gustawicz.**

Wspomnienia pośmiertne.

Jedna z najszlachetniejszych i najofiarniejszych matron polskich, gorąca patryjotka, niewiasta budząca w całym swoim życiu cześć i miłość powszechną, niewiasta jaśniejąca blaskiem wszystkich przymiotów i cnót polskich, **Jadwiga z hr. Zamoyskich księżna Leonowa Sapieżyna** zmarła w Krasiczynie pod Przemyślem, dnia 29. marca br. w 84. roku życia.

Sp. Jadwiga ks. Sapieżyna, urodzona w 1806 roku, córka ordynata, wojewody i prezesa senatu Królestwa Polskiego, ces. król. tajnego radcy i szambelana, Stanisława Kostki hr. Zamoyskiego i Zofii z książąt Czartoryskich, córki ks. generała Ziem podolskich, była niestrudzoną w pracy założycielką i orędowniczką rozlicznych instytucyj dobroczynnych i humanitarnych, między innymi zakładu św. Teresy i Domu Opatrzności we Lwowie Od czasu założenia Stowarzyszenia katolickiej młodzieży rękodzielniczej »*Skała*« śp. ks. Sapieżyna była jego wielką protektorką i prawdziwym duchem opiekuńczym. Naprzód bowiem realność, którą obecnie »Skała« posiada, darowała niemal księżna; oprócz tego corocznie składała na cele tego Stowarzyszenia po 400 złr., wogóle zajmowała się prawdziwie po macierzyńsku tym Stowarzyszeniem. Każde ważniejsze zgromadzenie widziało ją w latach poprzednich w gronie swoim. Nietylko sama uczęszczała do Stowarzyszenia, ale przyprowadzała często ze sobą swoich wnuków. Dzięki też temu serdecznemu zajęciu się Stowarzyszeniem zacnej Polki, wyszedł z niego szereg samoistnych rękodzielników i obywateli, zajmujących w kraju i poza granicami tegoż zaszczytne a pożyteczne dla kraju stanowiska. Każdy dzień tego promieniejącego życia nosił w sobie wielkie objawy pracy na polu społecznym. Za życia męża swego, Leona Sapiehy, stojąc u jego boku, spełniała obowiązki obywatelki z przejęciem się i pełnią olbrzymiego uczucia. Po śmierci jego (1878) zamknęła się w progach domowych w Krasiczynie. Przez lat dwanaście wdowieństwa, które jej upłynęły w żałobnej pamięci, śp. ks. Jadwiga poświęciła się całkowicie dobroczynnej pracy

około umoralnienia ludu i wywierania dodatnego wpływu na otoczenie. To téż gorliwością i ofiarnością swoją w niesieniu pomocy ubogim całego kraju zjednała sobie gorącą miłość i uznanie ogółu. W r. 1886 miasto Lwów uczciło zasługi zmarłéj wybiciem pamiątkowego na jéj cześć medalu, a można zaznaczyć, iż wysoki ten objaw publicznego hołdu, złożonego matronie polskiéj, pełnéj cnót zarówno w życiu publicznym, jak i prywatnym, najzupełniéj był zasłużonym.

Śp. ks. Jadwiga Sapieżyna dowiedziawszy się o istnieniu naszego humanitarnego Stowarzyszenia, przystąpiła doń r. z. dobrowolnie jako członek wspierający (ob. *Opiekun zwierząt* z r. 1889, str. 138), z zajęciem interesując się sprawami jego.

Przed niewiastami wielkiéj ofiarności, niewiastami z tradycyją rodową, stanowiskiem najgodniejszéj Polki, matki, żony, obywatelki, umiejącéj łączyć gorącą miłość dla ogółu nieszczęśliwych, maluczkich i ubogich, nie szczędzącą nigdy ofiar i trudów dla ulżenia ich doli, każdy z czcią uchyli czoła, szlachetnymi bowiem czynami wyższą i wznioślejszą godność zdobyć ona sobie zdołała, aniżeli wszystko, cokolwiek zrządzeniem losów przypadło jéj w udziale.

Ale nie samymi różami zasłanym było pasmo życia zmarłéj. W kilka lat po ślubie (1825 r.) wraz z mężem i drobnymi dziećmi w czasach po listopadowym powstaniu uchodzić musiała z kraju i na obczyźnie twardy wieść żywot, patrząc na klęskę rodaków. Również w r. 1863 nieszczęścia kraju głęboko raniły serce zmarłéj, nigdy wszakże nie pozwoliły upaść na duchu, lecz przeciwnie krzepiły i stawały się polem do usług i dobrodziejstw, świadczonych rodakom.

Zgon téj czcigodnéj Polki wywołał w całym kraju szczery i powszechny żal, a smutnemu obrzędowi pogrzebowemu, który odbył się 2. kwietnia, towarzyszyły gorące łzy tych wszystkich, którym w długim swym życiu tysiączne świadczyła dobrodziejstwa i dla których liczne pozakładała instytucyje. Cześć Jéj pamięci!

Honorowy członek naszego Stowarzyszenia i życzliwy jego doradca, **JE. Ksiądz Jan Schindler bar de Schindelheim**, prezydent senatu b. rzeczypospolitéj krakowskiéj, zmarł dnia 4. kwietnia w Krakowie w 88. roku życia. Rodzina zmarłęgo dostojnika kościelnego pochodziła ze Szwajcaryi. W drugiéj połowie XVIII. wieku osiadła była w Austryi. Ojciec śp. X. Jana miał majątek Zabłotów pod Stanisławowem. Matka, polka, była z domu Zaborowska. Sp. Jan urodził się 3. września 1802 r. Szkoły skończył w Stanisławowie, uniwersytet we Lwowie i Wiedniu, gdzie r. 1825 otrzymał stopień doktora św. teologii. Z posady katechety w Czerniowcach ks. Jan powołany został na profesora uniwersytetu Jagiellońskiego do wykładu pisma św. i języków słowiańskich w r. 1832. Od r. 1833 do 1838 był dziekanem

wydziału teologicznego. Następnie zostaje radcą konsystorza. Sejm krakowski obiera ks. Schindlera sędzią pokoju. R. 1836 rządy opiekujące się rzecząpospolitą krakowską mianują go komisarzem rządowym uniwersytetu Jagiellońskiego. R. 1841 zostaje prezesem senatu rządzącego. Na stanowisku swoim zdobył mnóstwo orderów od rządów ościennych jako odznaczenie za usługi. R. 1861 mianowany został dożywotnim członkiem Rady państwa w Izbie panów. Życie ks. Schindlera płynęło na badaniach przyrodniczych i medycznych, którym zwłaszcza w ostatnich latach poświęcał się z zapałem młodzieńczym. Śp. ks. Schindler cały majątek przeznaczył na cele dobroczynne, kościelne i naukowe. W testamencie zastrzegł wyraźnie, by nie rozlepiano kartek pogrzebowych i nie wystawiano zwłok, tylko by je włożono rychło do trumny metalowej, którą już przed kilkunastu laty zamówił, i własnymi końmi przewieziono na Bielany, gdzie je OO. Kameduli w przygotowanym już poprzód grobie pochować mają. Pogrzeb odbył się 7. kwietnia z wielką okazałością. Orszak pogrzebowy dążył ulicami Kanoniczą, Grodzką, Franciszkańską i Zwierzyniecką ku Bielanom. Przy rogatce Zwierzynieckiej zdał książę Biskup Dunajewski dalsze prowadzenie konduktu ks kan. Matzkemu. U wrót klasztoru bielańskiego oczekiwała na zwłoki kongregacyja zakonna księży Kamedułów z ks. przeorem na czele. Przed spuszczeniem zwłok do krypty kościelnej wygłosił nad trumną zmarłego mowę żałobną poseł dr. Ferdynand Weigel. Po odprawieniu ostatnich ceremonij pogrzebowych spuszczono zwłoki do krypty kościelnej. Cześć jego popiołom!

JASKÓŁKI.

Ciąg dalszy.

Zmyślność.

Jaskółki — to ptaszęta wesołe, towarzyskie, zgodliwe, roztropne, czułe i zmyślne; nietylko śmiałe, ale także odważne. One śledzą swe otoczenie, wnet rozeznają swych przyjaciół od wrogów i ufają tylko temu, kto na to zasługuje. Zaufanie do człowieka wiele na ich korzyść przemawia, albowiem zauważano, że zbliżenie się do ludzi wpływa na rozwój umysłowy zwierząt.

Jak nieżyczliwych sobie ludzi jaskółki unikają, przekonałem się o tym przed trzema laty.

Gdy sobie nowy dom zbudowałem, zaraz pierwszego roku *murówki* kilka gniazdek ulepiły. Były to dla mnie upragnione goście, którymi się niezmiernie radowałem. Ale nie wszyscy domownicy tak je kochali, jak ja!

Jeden z lokatorów złorzeczył poczciwym ptaszkom, że mu

często na okno esiki rzucały. Rozgniewany tą ich niedelikatnością strącił kilka gniazdek.

Skrzywdzone ptaszęta piszczały żałośnie. Na ich krzyk zleciało wiele jaskółek i okrążając dom ze zgrozą spoglądały na gniazdeczko zniszczone i jajka rozbite. Potym gwarząc naradzały się między sobą, a co uradziły, domyśliłem się dopiero następnego roku.

Żadna jaskółka pod mój dach nie wróciła. Przez trzy lata nie miałem u siebie tych ptasząt, ale za to zagnieździło się nieszczęście. Zabobon ludu polskiego spotkał się tu z rzeczywistością.

Dopiero zeszłego roku trzy młode parki gniazdka ulepiły, ale niestety nie miałem z nich pociechy, bo wróble rozbójniki wydarły im lepianki i wypędziły z domu moje ukochane szczebiotki.

Św. Franciszek z Asyżu niezawodnie uważał jaskółki za ptaki szlachetne i pojętne, o czym przekonywuje nas następujące zdarzenie.

Raz nauczał pogan ten Święty, a jaskółki tak głośno szczebiotały, że nie było słychać kazania. Wtedy mąż święty zwrócił się do ptasząt i rzekł te słowa: «Oto już parę godzin gwarzycie, o jaskółki, siostry moje! Bądźcież cicho na chwilę, niech i ja przemówię».

Ptaszęta usłuchały męża świętego i przestały szczebiotać.

Gdyby św. Franciszek nie miał przekonania o pojętności jaskółek, z pewnością nie mówiłby tak do nich, ani też ich nazywał swoimi siostrami.

Że jaskółki są wdzięczne i czułe ptaszęta, o tym przekonali się badacze przyrody. Między innymi tak mówi *hr. Kaźmirz Wodzicki.*

«Każdy musi podziwiać tkliwą czułość jaskółek, kto badał ich życie. Aż miło patrzeć, jak starsze rodzeństwo opiekuje się młodszym, jak pomaga znaleść pożywienie, jak prowadzi na spoczynek; cóż dopiero powiedzieć o téj czułéj wierności małżeńskiéj i przywiązaniu rodziców do dzieci!»

«Nigdy nie zapomnę, gdy w srogiéj wiośnie roku 1853 otworzyłem owczarnię zmarzniętym jaskółkom, z jakim rozkosznym śpiewem wleciały do środka, a potym jak na podziękowanie, gdy wszedłem za nimi, okrążały tak blisko głowę moję, że ledwie o kilka cali od mojéj czapki były, a zawsze harmonijnie nucąc. Potym puściły się w pogoń za muchami, które tam na mieszkanie już dawno schroniły się przed zimnem. Jaskółki zaspokoiwszy głód, siadły na belce i śpiewać poczęły wesoło. Ja siedziałem naprzeciwko i z rozczuleniem słuchałem, bo ten hymn dziękczynny był dla mnie; ja zrozumiałem je dobrze».

«Po godzinie zaczęły się niepokoić, bo im było ciasno i duszno; więc pukały do wrót i okien, napierały się na dwór. Wypuściłem je, bo jakże nie miałem zrozumieć moich lubych ptasząt. Wyleciały znowu zadowolone, bo chociaż tam chłodno i głodno, lecz tam niczym niekrępowana wolność».

«W tych słotach robiłem sobie codzień tę zabawę, wpuszczając i wypuszczając moje jaskółki a zawsze odbierałem tesame oznaki wdzięczności w locie i śpiewie».

«Byle ruchu jaskółki nie hamować, to można ją do wielkiego przywiązania doprowadzić, nawet do tego stopnia, że w sześć miesięcy później po odbytej podróży, powraca do mieszkania, pozna dobroczyńcę, pozdrowi śpiewem i niemal codzień wita go w domu i na dworze».

Na powyższe twierdzenia przytaczam następujące zdarzenie, które niemiecki przyrodnik *Dr. Thienemann* tak opisuje.

«W połowie czerwca roku 1841 wywiodła parka jaskółek dymówek pięcioro piskląt, lecz chociaż to było w czerwcu, wilgotne zimno dokuczało wszystkim żyjątkom. Jaskółczęta usiadły szeregiem na gałęzi akacyi przed domem stojącej i zesmutniałe czekały na żér, który rodzice mieli przynosić. Niestety, czekały daremnie, bo owady ukryły się przed słotą. Głód i zimno zgnębiło pisklęta, że najmłodsze spadło na ziemię nieżywe, a pozostałe żałośnie piszcząc opuszczały skrzydełka i dygotały, napuszywszy pierze.

Widząc to nieszczęście *Thienemann*, nachwytał much w pokoju, otworzył okno najbliższe siedzących jaskółek i puszczał złowione owady. Ptaszęta zaczęły chciwie łapać ulatujące muchy. Widząc, że przyszedł na szczęśliwy pomysł, łowił potym z dziećmi muchy w pokoju, w kuchni, śpiżarni i podawał ptaszętom. One poznały to dobrodziejstwo, patrząc chciwie na okno, gdy się tylko jego ręka pokazała. Posilone trzepotały radośnie, a stare okrążając to miejsce mile nuciły, jakby dobroczyńcy dziękowały.

Tym sposobem uratował cztery pisklęta, a gdy słońce zaświeciło, poleciały z rodzicami bujać w powietrzu.

Jaskółki dobrze sobie zapamiętały to okno, bo codzień wlatywały do pokoju, gdy im okno otworzono. Łowiły tam muchy, a potym usiadszy na gzymsie śpiewały.

Gdy nadeszła pora odlotu, powędrowały z innymi, lecz następnéj wiosny rano trzepoce jaskółka przed oknem, domagając się wpuszczenia. Gdy jéj otworzono wleciała, okrążyła pokój, potym siadła na ulubionym miejscu i zaczęła nucić wesoło. Wlatywała nawet przez otwartą jednę szybę, a gdy wieczorem o niej zapomniano, wybrała sobie miejsce na szafie. W pierwszych dniach bardzo się płoszyła, gdy świecę wnoszono. Latając uderzała o ściany, ale późniéj przyzwyczaiła się do sztucznego światła, które ją z początku raziło.

Po tygodniu przyprowadziła drugą jaskółkę, która po wielkich zabiegach do pokoju wprowadzić się dała i skromnie przy towarzyszce usiadła.

Gdy potym zimne słoty nastały, jaskółkom było ciepło w pokoju i dostawały muchy, a gdy tych zabrakło, jadły pająki i mrówcze jajka. Dzika przybyszka oceniła to wygodne życie w porównaniu do życia towarzyszek na zimnym powietrzu i oswoiła

się. Przyjmowała z ręki pożywienie i obiedwie każdéj nocy razem na szafie sypiały.

Wnet potym pomyślały o gniazdeczku i zaczęły je budować, ale nigdzie bryłki błota przylepić nie mogły, bo ściany były gładkie obite tapetami. Żal im opuścić dach gościnny, więc smutnie szczebiocąc siadają na szafie i spoglądają na swego dobrodzieja, jakby go prosiły o pomoc.

Thienemann domyślił się, czego ptaszęta od niego żądają. Poszedł do stajni, odjął kilka gniazdek zeszłorocznych a jeszcze niezajętych i przybił do deski, a potym na szafie postawił.

Uradowane jaskółki zaraz zaczęły gniazdo naprawiać i byłyby sobie domek ukończyły, gdyby nie nastał dészcz z wichrem trwający dni kilka. Wtedy okna musiały być zamknięte, więc ptaszęta posmutniały, nie mogąc na dwór wylatywać po błoto na odnowienie gniazdeczka potrzebne. Samiczka była bardzo niespokojną, bo czuła potrzebę zniesienia.

Troskliwy badacz i temu zaradził. Rozrobił glinę na misce jak ciasto i postawił na szafie. Jaskółki przyjęły zaraz podany materyjał i wykończyły gniazdo. Potym brał pierze z poduszki i puszczał w powietrze, a ptaszęta chwytały je chciwie i wyścieliły wnętrze lepianki swéj.

Niebawem rozsiedziała się samiczka na pięciu jajkach. Samiec rozkosznie głosił swe szczęście, rano budził śpiewem swego dobroczyńcę, a pukając w okno, prosił o wypuszczenie.

Dziwnie się przywiązał do niego i towarzyszył mu na przechadzkach pobliskich. Gdy powracał z dalszych wycieczek, wylatywał naprzeciw niego, wołając diwit witwit! Okrążał go i różnymi ruchami i zwrotami w powietrzu okazywał mu swe przywiązanie. Często po winnicach i krzakach krył się *Thienemann*, a jaskółeczka tak długo go szukała, aż go znalazła, szczebiocąc radośnie.

W pewnych dniach udawał się *Thienemann* do Drezna, więc odprowadzała go kawał drogi, a potym wracała do gniazda. Godzinę jego powrotu tak doskonale pamiętała, że zawsze ją spotykał na tymsamym miejscu. Już zdaleka witała go wit wit! a gdy czasem nie zważał na nię, wtedy mu nad samą głową trzepotała, okrążając go kilka razy. Dopiero wtedy się uspokoiła i leciała naprzód do pokoju, gdy na nię zawołał. Tam usiadszy na ulubionym miejscu, głośnym śpiewem przyjmowała swego pana.

Gdy pracował w ogrodzie, ptaszyna przylatywała i usiadszy blisko, śpiewała mu jakby na rozrywkę. Nawet wtedy przylatywała na jego zawołanie, gdy z towarzyszkami igrała nad wodą lub pod obłokami.

Nareszcie zachorował przyrodnik i musiał się położyć do łóżka. Lekarz kazał zamknąć okno, więc zamknęli — a tu jaskółki miały młode. Chory nie chcąc narazić swych szczebiotek na niebezpieczeństwo, kazał wykroić mały otwór w szybie, którędy wylatywały i powracały jaskółki, jak gdyby zrozumiały konie-

czność tej niewygody. Wychowały dziatwę szczęśliwie; na drugi jednak wylęg jajek nie zniosły. Dorosłą młodzież wprawiały przez kilka tygodni do lotu, a gdy nadszedł czas wędrówki, poleciały z gromadą towarzyszek.

Trzeciego roku ku końcu kwietnia słyszy *Thienemann* znane mu witwit głośno powtarzane. Spojrzał w górę i spostrzegł hurmę jaskółek. Zawołał i w téj chwili pędem strzały spuściła się wdzięczna ptaszyna ku niemu, dając dowody swéj uciechy i pamięci.

Ten człowiek pełen czucia, tęsknił za swą jaskółką przez długie zimowe miesiące, a ona w czasie wędrówki po Afryce nie zapomniała swego dobrodzieja. Powitali się oboje i pospieszyli do domu. Gdy okno otwarto, jaskółka obleciała każdy kącik, usiadła potym na ulubionym miejscu i długo nuciła swe pieśni, dowodząc, że i teraz potrafi rozweselić i wywdzięczyć się za przyjacielską opiekę.

Sroga to była wiosna roku 1843, bo zimna, wietrzna i mokra. Zniszczyła krocie ptasząt wędrownych. Zdaje się, że i nasza jaskółka utraciła swą małżonkę w podróży, bo dni i tygodnie uganiała za jaskółkami i tylko na noc wracała do swego pokoiku. Wracała sama, bo ten wdowiec nie mógł sobie znaleść małżonki. Jeżeli mu się kiedy udało sprowadzić samiczkę przez okno, pokazał gniazdeczko, pieszczotami zapraszał, nucił miłośnie, to ona płochliwa ulatywała i już wrócić nie chciała. On za nią gonił, prosił, śpiewał, nadobnością lotu chciał ją zachwycić, ale to wszystko nie pomogło. Żadna nie chciała się gnieździć w pokoju i zależeć od człowieka, bo wolność była jéj najmilszą.

Biedny samiec żył przez lato samotnie, ciesząc się przywiązaniem swego dobroczyńcy i przyjaciela. Nie mając obowiązków rodzinnych, wolny czas poświęcał przyjaźni. Śpiewał dużo, odbywał z nim wycieczki, a przywiązanie stawało się między nimi coraz czulsze.

Gdy ku jesieni jaskółki gromadzić się zaczynały, nasz wdowiec codzień z nimi się łączył, codzień wprawę lotu odbywał, często nawet przepędzał noc za domem, aż nareszcie jednego dnia przyleciał nad wieczorem i zawabił, jakby chciał na siebie uwagę zwrócić. Potym śpiewał długo, śpiewał smutno, siedząc na tymsamym miejscu, a gdy się słońce chyliło ku zachodowi, okrążył *Thienemanna*, wyleciał oknem i powędrował w dalekie kraje.

Roku 1844 na wiosnę puka do okna jaskółka, wabi i trzepoce radośnie. Wpuszczono ją, a cała rodzina *Thienemanna* do płaczu poruszona zbiegła się do sypialni ojca słuchać śpiewu téj wdzięcznéj i kochającéj ptaszyny. Cały dom radował się jaskółką. Dzieci jéj muszki przynosiły, a ona po dawnéj znajomości przyjmowała pożywienie z każdéj przyjacielskiéj ręki.

Téj wiosny była niespokojną. Robiła częstsze i dłuższe wycieczki. Nareszcie odkryto, dlaczego zaszła ta zmiana. Oto nasz samczyk upatrzył sobie samiczkę, którą zdobyć postanowił. Przez pięć dni uganiały trzy jaskółki — samiczka naprzód

a samczyki za nią krążyły w powietrzu, jakby trąbą wichru miotane, lub też ona siedząc na gałęzi, spoglądała na walkę, która miała rozstrzygnąć o jéj przyszłym losie. Nareszcie szóstego dnia nasz samczyk ją zdobył i w tryjumfie wprowadził do pokoju.

Jaskółeczka zdaje się w stajni urodzona i wychowana nie chciała osiąść w pokoju, ale uciekała do stajni, pokazując dawne gniazdeczko. On namawiał, pieścił, często surowo napominał a nawet gwałtem do pokoju wprowadzał, lecz to wszystko na nic się nie przydało. Widząc daremne swoje zabiegi, pociągnął za nią do stajni, gdzie wychowały pięcioro dzieci z pierwszego wylęgu. Nie źle im się powodziło, bo lato było ciepłe a much pełnó. Kochały się bardzo, więc usamowolniwszy dziatwę, wzięły się do drugiego zniesienia i znowu wychowały cztery młode. Podczas obowiązków samiec swego pana nie zaniedbywał, nawet często do pokoju przylatywał, gdy samiczka na jajkach siedziała. Żadnego dnia nie zapomniał śpiewem dawać dowodu wdzięczności i pamięci.

W jesieni latał nasz samiec z rodziną na zgromadzenia jaskółek, bo to obowiązek, lecz wracał a nawet z dziatwą do pokoju przybywał. Nareszcie jednego wieczora cała rodzina długo śpiewała, a gdy słońce zachodzić miało, wszystkie ptaszęta rwały się na dwór; zdaje się, że na tę noc rozkaz marszu był wydany.

Zrozumieli to *Thienemannowie*, wszyscy posmutnieli, jakieś żałobne przeczucie ogarnęło ich serca. Żal i przeczucie było prawdziwe, bo roku przyszłego daremnie czekano rozkosznéj ptaszyny. *Thienemann* wołał, wabiły dzieci, okno otwierano, puszczano muszki, lecz niestety już nie zobaczyli ukochanéj ptaszyny».

Jaskółki odznaczają się także litością. *Hr. K. Wodzicki* mówi, że je łączy solidarność miłosierdzia w niesieniu pomocy do wychowania obcych piskląt. Młode jaskółki z pierwszego wylęgu przynoszą pożywienie innym pisklętom, jakby się chciały przygotować do przyszłych obowiązków rodzicielskich. Szczególnie pomagają karmić młode z drugiego zniesienia, bo sami rodzice nie mogą dostarczyć pożywienia, albowiem w chłodnym powietrzu już mniéj owadów.

Rozczulający to widok, gdy kilka jaskółek nadlatuje ku jednemu gniazdku a każda w dzióbku muszkę przyniesie, trzepoce skrzydełkami, zawabi i podaje pisklęciu pożywienie. Tak czyni jedna za drugą, to też i drugie potomstwo prędko rośnie a rodzice jak zwykle na dach je wywodzą. Tam jak przy gnieździe, nie zapominają miłosierne jaskółki o młodszym rodzeństwie. Donoszą im żer, zachęcają do lotu i tak się nim troskliwie opiekują, że po kilku dniach już na wyścigi ze starszymi latają.

Gdyby nie ta czuła litość i większa ilość samców niż samiczek w gromadzie ptaków, które nie żyjąc tego roku w małżeństwie, poświęcają się z całą miłością spokrewnionym i w kłopotach zostającym, nie mogłyby jaskółki jednego roku dwa razy dziatwę na świat wyprowadzić.

Jaskółki żyjąc towarzysko ratują się w potrzebie. Gdy jedna krzyknie, to hurma innych przybywa na pomoc. Francuski przyrodnik *Dupont de Nemours* opowiada takie zdarzenie.

«Widziałem, jak złapała się jaskółka za nóżkę w kluczkę szpagatu wysoko u rynny wiszącego. Wysiliwszy się bezskutecznie, nie mogła się wydostać z więzów. Krzycząc wisiała i kiedy niekiedy próbowała podlecieć. Jaskółki z pobliskiéj okolicy a może i z odleglejszych stron przyleciały na jéj ratunek. Było ich do kilku tysięcy. Krążyły koło niéj, krzycząc przeraźliwie z trwogi i politowania.

Po długiéj i krzykliwéj naradzie jedna z nich wynalazła sposób uwolnienia towarzyszki. Uwiadomiła inne, które wzięły się zaraz do roboty. Wszystkie kolejno pracowały, krążąc jedna za drugą. Każda przelatując szarpnęła dzióbkiem za szpagat, a że to czyniły prędko i zawsze w tymsamym miejscu szpagat dzióbały, nie upłynęło pół godziny, a sznurek przecięły i uwolniły więźnia. Jeszcze przez długi czas gromada pozostała na miejscu wypadku, gwarząc bez przerwy, ale spokojnie i wesoło.«

Inny wypadek zdarzył się także we Francyi w mieście Orleanie.

«Jaskółka wyrwawszy się ze szpagatem do nóżki przywiązanym, zaczepiła się na dachu pensyjonatu żeńskiego. Na krzyk jéj przybyło mnóstwo jaskółek. Szarpały szpagat, ciągnęły nieszczęśliwą niewolnicę to za głowę, to za skrzydła, ale nic nie pomogło; pierza jéj tylko nawyrywały. Przekonawszy się, że wszelkie usiłowania wyswobodzenia były bezskuteczne, postanowiły żywić ją przynajmniéj.

Zeszło tym sposobem cztéry dni. Potym zdjął z dachu biedną ptaszynę blacharz, którego uczennice zakładu sprowadziły. Jaskółka uwolniona od szpagatu, uleciała szczęśliwa do swéj rodziny.«

Przyrodnicy twierdzą, że zdolności umysłowe ptaków zależą od objętości mózgu. Gęś, indyk, pantarka mają głowę małą, więc mózg mały, dlatego są głupie. Z tego powodu zdrowy chłopski rozum utworzył porównania, mówiąc o lekkomyślnych ludziach lub głupich: To prawdziwa czeczotka, głupia jak gęś, głupi jak indyk. *D. c. n.*

Mikołaj Rybowski.

JA CIĘ OCHRONIĘ.

Kwiatku, pełen woni,
ozdobo ustroni,
czemu drżysz, nie stoisz,
czy się ty mnie boisz?
Myślisz, że cię marnie zerwę
i nić życia twego przerwę?...
rośnij — słodkie roznoś wonie,
bo ja cię ochronię!

Ozdobny robaczku!
kryjesz się przy krzaczku,
uciekasz odemnie,
że zły człowiek ze mnie?...
Żem nieczuły? O, ja ręczę,
że cię pewnie nie udręczę;
niech ci w pełni życie płonie,
bo ja cię ochronię!

Miluchna ptaszyno!
zawsześ z dobrą miną;
dziś umykasz z drogi
pełna lęku, trwogi...

Myślisz może, iż cię zgładzę
i zdradliwie uprowadzę?
O, nie! bujaj w każdéj stronie,
bo ja cię ochronię!

Józef Chmielewski.

PROŚBA KONIA.

Przyroda stworzyła mnie dla twego użytku, lecz powierzyła mnie twojemu miłosierdziu. Wszystkie moje usiłowania skierowane są ku temu, aby ci służyć i wypełniać twoję wolę. A więc nie czyń mnie nieszczęśliwym przez okrutne ze mną postępowanie. Nie braknie mi własnego rozumu i pojęcia, umiem być wdzięcznym i posłusznym, tylko mówić nie umiem. Często przejmuje mnie trwoga, ponieważ nie mogę zrozumieć, czego odemnie wymagasz. Usiłuję pojąć twe chęci, ale mi się w głowie kręci od bolesnych razów, spadających mi na łeb i na chrapy, albo téż odurzają mnie uderzenia grubych twoich biczysk i batów, często jeszcze uzbrojonych stalowymi kolcami, po moich bokach, a całe moje ciało jest zbolałe od ciągłego smagania batem. Dziąsła i usta moje bolą mnie od twardego wędzidła, które zawsze zamocno przyciągasz. Chomąto ściska mi szyję i tamuje oddech, albo kark mi tłucze i powoduje głębokie do kości sięgające rany, w których gnieżdżą się utrapione owady. Kuleję, bo mi twój kowal wbił ostry gwóźdź aż do żywego mięsa. Niepodobna mi po ośm godzin dziennie pędzić lub dźwigać ciężary po twardéj, kamienistéj lub błotnistéj drodze, pod skwarem słonecznym lub podczas mroźnego wiatru. Zdałeś mnie na ręce stajennego lub fornala, który o mnie zapomina, a sam idzie do karczmy. Zgłodniały, spragniony, zbolały i zmęczony wracam wreszcie do domu, a tu nie dają mi ani wody ani zdrowego i obfitego pokarmu, ani podściółki; mówią mi, że owies drogi, że siano wymokło na deszczach, że słomą trzeba bydło karmić; prawda! ale praca moja warta daleko więcéj, a zarobiłbym dla ciebie dwa razy tyle, gdybyś mi owsa, siana i podściółki nie skąpił i dobrze się ze mną obchodził. Gniewasz się na mnie, żem bezsilny i niedołężny; zbywasz mnie za marne pieniądze nowemu tyranowi, który postanawia na śmierć mnie zamęczyć, łżysz mnie nazywając szkapą i martwisz się, że podług twego zdania, stałem się dla ciebie przyczyną straty, a nie chcesz wiedzieć tego, że gdybyś mnie pielęgnował, dobrze żywił i obcho-

dził się ze mną jak należy, pracowałbym gorliwie z korzyścią dla ciebie, a wrazie gdybyś mnie sprzedawał, przyniósłbym ci znaczne zyski.

Ze spraw Towarzystwa.

1. **Niszczenie ptactwa w ogrodzie salinarnym w Wieliczce.** W skutek skargi przez Wydział krak. Stow. ochr. zw. wniesionéj do c. k. Starostwa w Wieliczce pismem z dnia 29. wrz. 1889. L. 247 z powodu niszczenia ptactwa w ogrodzie salinarnym (ob. *Opiekun zwierząt* z r. 1889, str. 128) otrzymaliśmy następujące sprawozdanie:

Nr. 25541. Do Świetnego Stowarzyszenia ochrony zwierząt w Krakowie. W odpowiedzi na szacowne psimo z dnia 29. września 1889 L. 247 mam zaszczyt donieść Świetnemu Stowarzyszeniu ochrony zwierząt, iż wezwałem p. Bedrnika i temuż poleciłem, by surowo skarcił swych synów za zabijanie pożytecznych ptaków i na przyszłość czuwał, by się podobnego dręczenia zwierząt synowie jego nie dopuszczali. Wieliczka, 5. stycznia 1890. Za c. k. Starostę *Balicki* m. p.

2. **Niszczenie zwierzyny w powiecie żywieckim.** Wskutek wiadomości otrzymanéj z powiatu żywieckiego na początku stycznia br., że w lasach tegoż powiatu od dłuższego czasu przeróżne indywidua tępią w sposób niemiłosierny zwierzynę bez względu na czas ochronny wskazany ustawą łowiecką z 30. stycznia 1875 (Dz. u. kr. Nr. 16), a przedewszystkim zwierzynę, na którą wcale polować niewolno (łanie, kozy, cielęta i spiczaki), a podanéj także w kronice Nowéj Reformy z 5. stycznia br. Nr. 4, zwrócił Wydział pismem z 8. stycznia b. r. L. 322 uwagę c. k. Starostwa i Wydziału Rady powiatowéj w Żywcu, jakotéż posterunków c. k. żandarmeryi w Żywcu, Suchy, Milówce, Rajczy i Slemieniu na powyższe bezprawia, dziejące się pod okiem tychże władz, żądając, aby też władze przeciw powyższemu złemu energicznie wystąpiły a kłusowników i niszczycieli zwierzyny surowo karały. W téj sprawie pisze nam c. k. Starostwo żywieckie, co następuje:

Nr. 863. Do Szanownego Krakowskiego Stowarzyszenia ochrony zwierząt w Krakowie. Odnośnie do szacownego pisma z dnia 8. stycznia br. L. 322 mam zaszczyt oznajmić, iż ustawę krajową o ochronie ptactwa pożytecznego ogłosiłem tutejszym okólnikiem z dnia 27. kw. 1889 L. 7002 a ustawę łowiecką tutejszym okólnikiem z dnia 13. bm. L. 863 w całym powiecie i poleciłem zarazem c. k. żandarmeryi, by nad ścisłym wykonaniem tych ustaw bacznie czuwała. Żywiec, dnia 13. lutego 1890. C. k. Starosta *B........* m. p.

3. **Niszczenie zwierzyny w pow. nowosądeckim.** Pismem z 20. lut. br. L. 372 zwrócił Wydział uwagę Oddziału galicyjskiego towarzystwa ochrony zwierząt w Nowym Sączu na bezczynność odnośnych władz pow. sądeckiego w sprawie ochrony zajęcy i kuropatw, łapanych

przez chłopstwo na paści lub druty. Zające w ten sposób łowione i duszone sprzedaje chłopstwo po miasteczkach po 30—40 cnt. za sztukę.

4. **Zdejmowanie skór ze zwierząt zabitych i padłych przez oprawcę**. Magistrat m. Krakowa pismem z dnia 12. grudnia 1889 L. 29245 zawiadomił towarzystwo, że:

„w skutek prośby oprawcy miejskiego, zezwolił Magistrat uchwałą z 12. gr. r. z. na zdejmowanie i sprzedaż skór ze zwierząt zdrowych zabitych, jakotéż i ze zwierząt padłych na choroby niezaraźliwe, z tym jednak zastrzeżeniem, że oprawca miejski obowiązany jest na żądanie właściciela wydać skórę ze zabitego lub padłego zwierzęcia w przeciągu trzech dni po zdjęciu za pobraniem należytości za zdjęcie skóry. Należytość, którą oprawca za zdjęcie skóry od stron pobierać może, wynosi 2 złr. za zdjęcie skóry z konia lub wołu, a 50 ct. za zdjęcie skóry z psa».

5. **Dręczenie gołębi**. Do Magistratu m. Bochni wniesiono zażalenie o dręczenie zwierząt, popełnione przez to, że sąsiad obciął gołębiom ogony i skrzydła, przez co uniemożebnił tymże swobodne latanie, spowodował śmierć młodych gołębi, które będąc w gołębniku nie mogły być przez stare gołębie karmione, albowiem te ostatnie nie mając skrzydeł nie mogły do gołębnika się dostać. Wskutek tego faktu zapytał się tenże Magistrat Wydziału krak. Stow. ochr. zw. pismem z dnia 8. stycznia br. L. 3818, czy w powyższym przypadku zachodzi dręczenie zwierząt? Wydział rozstrząsnąwszy tę sprawę, w odpowiedzi udzielonéj Magistratowi bocheńskiemu, uznał fakt powyższy za dręczenie zwierzęcia i jako takie ma być karane w myśl rozp. minist. z 15. lut. 1855 (D. u. p. Nr. 31) i rozp. ces. z 20. kw. 1854 (D. u. p. Nr. 96), a to z powodów następujących: a) obcięcie gołębiom ogonów i skrzydeł przez sąsiada stało się nieprzypadkowo, tylko rozmyślnie i złośliwie; b) przez obcięcie ogonów i skrzydeł uniemożliwił gołębiom swobodne latanie, co dla tych zwierząt nader ruchliwych jest już dręczeniem; c) wreszcie ponieważ stare w ten sposób uszkodzone nie mogły się dostać do gołębnika, nie mogły zatym karmić młodych, które głodem dręczone i morzone musiały z głodu zginąć.

6. **Dręczenie psów przez dozorców plantacyjnych**. Rokrocznie z początkiem wiosny w celu ochrony plantacyj od szkód, jakieby mogły wyrządzić psy samopas po plantacyjach biegające, ogłasza Magistrat, że «psy na plantacyjach należy w myśl rozporządzenia z 8. kwietnia 1884 L. 11182 prowadzić na smyczy, że dozorcy plantacyjni i straż policyjna czuwać mają nad ścisłym wykonywaniem rozporządzenia dotyczącego prowadzenia psów na smyczy, a osoby niestosujące się do tego ulegną karze». (*Obw. Mag. m. kr. z 27. marca 1890. L. 7416*).

Czy słusznym jest ten zakaz, pozwoli sobie Wydział wątpić. Z wszystkich miejsc publicznych wyrugowano u nas psa; niewolno mu nawet swobodnie i spokojnie przejść przez aleję plantacyjną. Gdzież więc ma się podziać i którędy chodzić to biedne zwierzę, a z nim jego pan? Znanym jest powszechnie, że psy domowe, dobrze tresowane, są zazwyczaj spokojne i posłuszne, chodzą krok w krok za swym panem; mo-

żnaby więc z nimi bez szkody dla plantacyj chodzić aleją, a gdyby nawet jaka „psina“ przypadkowo weszła na trawnik, to niczego nie uszkodzi, a z pewnością stokroć mniéj zdepce trawy, aniżeli dozorca plantacyjny, ścigający psa po trawniku w celu spędzenia go z niego.

Gdyby plantacyje stanowiły park zewsząd zamkniony i otoczony, natenczas powyższy zakaz Magistratu miałby po części racyją bytu; ale wobec tego, że plantacyje krakowskie są ze wszech stron otwarte, jest on chyba tylko na to wymyślonym, aby udręczać właścicieli psów, płacących za nie podatek, a psom odbierać swobodę ruchu.

Strażnicy plantacyjni z powodu zbytecznéj swéj gorliwości i energii i sumiennego przestrzegania rozporządzenia dotyczącego spędzania psów z obrębu plantacyj, jak o tym ubiegłego lata członkowie krak. Stow. ochr. zw. mieli często sposobność przekonać się, dopuszczają się karygodnego dręczenia psów na plantacyjach. Przytaczamy ważniejsze fakta:

1) Dnia 21. maja 1889 na drodze przy pałacu biskupim wiodącéj na Zwierzyniec, strażnik bił niemiłosiernie psa starego i niedołężnego, a zapytany, dlaczego to czyni, odrzekł, iż bije psa, aby ten nie pobiegł przypadkiem na plantacyje.

2) Dnia 8. sierpnia 1889 strażnik plantacyjny przy pl. Szczepańskim uderzył tak silnie małego pieska, że biedne zwierzę ze złamaną nogą koziołkując i tarzając się z bolu, uchodziło przed dalszymi razami swego prześladowcy.

3) Dnia 15. września 1889 na plantacyjach przed ruską cerkwią strażnik plantacyjny rzucał nasamprzód kamieniami na psa będącego na trawniku, przez upał słoneczny spalonym, a spędziwszy go stamtąd do tak zwanego kółka, przychwycił go za głowę i przydusiwszy do ziemi, zaczął go porządnie trzciną okładać, wywołując straszne oburzenie w przechodzącéj publiczności i gdyby nie interwencyja sekretarza towarzystwa, byłby ten Nimrod plantacyjny dobił psinę na miejscu.

Tego rodzaju spędzanie psów, przechodzących przez plantacyje, wykonywane przez strażników plantacyjnych w myśl dotyczącego rozporządzenia magistrackiego uważać musimy stanowczo za dręczenie zwierząt, sprzeciwiające się rozp. min. z 15. lut. 1855 (D. u. p. Nr. 31). Z postępowania tych dozorców plantacyjnych wnosić należy, że zczasem dojdzie do tego, że strażnicy gotowi będą chodzić po domach i okładać psy kijami, aby je zawczasu oduczyć od zakazanego biegania po plantacyjach. Jest to wogóle rzeczą niesłychaną i nigdzie niepraktykowaną, aby zwierzę karać za złe, którego nie popełniło. Wkońcu zapytujemy się, czy potemu publiczność krakowska przechodzi się po plantacyjach, aby przypatrywać się egzekucyjom wykonywanym na psach przez strażników plantacyjnych i słuchać skomleń i skowyczeń zupełnie niewinnych stworzeń?

Podobne zażalenia dochodziły uszu towarzystwa zbyt często; nie robiono z nich atoli urzędowego użytku, lecz starano się ustnie przekonać strażników plantacyjnych o nietaktownym ich postępowaniu i dopuszczaniu się dręczeń zwierząt, które nic nie zawiniły; lecz to pozostało głosem wołającego na puszczy, ba nawet sprawa ta gazetami po-

ruszana (np. N. Ref. Nr. 122 i 181 ex 1889) nie zdołała u odpowiedniéj władzy wywołać należytéj interwencyi, skoro złe zostało złem.

Z tych to powodów wniósł Wydział do Komisyi plantacyjnéj na ręce Wgo Pana Radcy Prof. M. Straszewskiego odezwę z 27. lut. br L. 371, domagając się:

1) zniesienia nakazu prowadzenia psów na smyczy w obrębie plantacyj, raz z tego powodu, że to nie prowadzi do pożądanego celu, powtóre zaś, że ukracanie psom swobody w dowolnym ruchu staje się zwolna jedną z głównych przyczyn różnych psich chorób, między nimi wścieklizny;

2) wydania surowego polecenia dozorcom plantacyjnym, aby psów na plantacyjach lub w obrębie plantacyj trzcinkami pod żadnym warunkiem nie okładali ani kamieniami nie rzucali, ani téż wreszcie sami nie tratowali trawników, pędząc za psem w celu spędzenia go z tychże;

3) ponumerowania dozorców plantacyjnych, przez umieszczenie wyraźnych numerów na ich czapkach. W ten bowiem sposób będzie można wskazać z łatwością dozorcę, który czyto dopuścił się katowania psa na miejscu publicznym czy téż innego wykroczenia względem publiczności spacerującéj, gdyż i tego rodzaju zażalenia dawały się często gęsto słyszeć.

7. **W sprawie wnoszenia zwierzyny duszonéj przez rogatki do Krakowa i niszczenia narybku w Wiśle.** Z rozmaitych stron powiatu myślenickiego, żywieckiego i wadowickiego, jakotéż wielickiego dochodzą Towarzystwa uzasadnione wiadomości, że po wsiach tych powiatów coraz bardziéj rozpowszechnia się sposób łowienia sarn, zajęcy i lisów przez włościan na oka druciane, a kuropatw na sidła włosiane lub siatki, tak zwane rozjazdy, pomimo że ustawa z dnia 30. stycznia 1875 (Dz. u. p. Nr. 16) tego sposobu łowienia surowo zakazuje, jakotéż że włościanie łowią w powyższy sposób zwierzynę i kuropatwy po większéj części w czasie ochronnym dlatego, że myśliwi przestawszy polować mniéj im przeszkadzają w zastawianiu drutów, sideł lub siatek. Zwierzynę lub ptactwo tak złowione przynoszą najczęściéj czyto sami szkodnicy czytéż handlarze na sprzedaż do Krakowa. Również członkowie Towarzystwa spostrzegli, że na placu Szczepańskim w samę wigiliję Bożego Narodzenia okoliczni włościanie poprzynosili w koszach znaczną ilość narybku przeważnie z karpi, szczupaków a nawet i łososi, że aż żal było patrzeć na to marnotrawstwo z takim trudem i zachodem sprowadzonego i do Wisły wpuszczonego narybku.

Tak zwierzyna i ptactwo, jak narybek dostają się do miasta naszego przez rogatki. Na cóż tedy zdadzą się wszelkie ustawy łowieckie, rybackie i o ochronie ptactwa pożytecznego, jeżeli téj samowoli i kradzieży nie położy się tamy, a bardzo łatwo temu złemu dałoby się zapobiec, gdyby przez rogatki zwierzyny i ptactwa duszonego, jakotéż narybku do miasta nie wpuszczono. Co do narybku, to sprzedaż jego odbywała się w biały dzień i na miejscu publicznym. Czyż to uszło oka komisarza targowego? Dodamy, że co tydzień na dzień sabatu dostarczają włościanie małych rybek żydom na Kaźmirzu. Wiadomo wszakże, że włościanie nie posiadając stawów własnych, nie mają własnych ryb, a właściciel prywatny stawów zarybionych narybku masami nigdy się

nie pozbywa. Więc rybki pojawiające się co tydzień na Kaźmirzu pochodzić muszą z kradzieży.

Ten smutny stan rzeczy przedstawił Wydział Towarzystwa Prezydyjum Magistratu m. Krakowa pismem z dnia 30. grudnia 1889 L. 325, domagając się, aby polecono jak najsurowiéj straży rogatkowéj przedewszystkim na rogatce podgórskiéj, a) staranne rewidowanie każdéj sztuki zwierzyny lub kuropatw niesionych do Krakowa, czy są strzelane, czy téż duszone, b) nie wpuszczanie włościan do miasta z drobnym narybkiem, c) w razie przydybania kuropatw lub zwierzyny duszonéj lub drobnego narybku odstawianie dotyczących szkodników wraz z towarem Magistratowi w celu postąpienia w myśl dotyczących ustaw.

W sprawie powyższéj udawał się już do Magistratu krak. Wydział Rady pow. w Myślenicach odezwą z 28. marca 1889 L. 3973.

8. W sprawie umyślnego **oparzenia kota** w kamienicy Nr. 33. przy ulicy Floryjańskiéj i dręczenia **konia** przez p. J. Kawińskiego wniósł Wydział skargę do c. k. Dyrekcyi Policyi pismem z 26. lutego br. L. 374.

WYKAZ ODEZW

wniesionych przez Towarzystwo do władz politycznych i autonomicznych, dotąd przez te władze niezałatwionych, lub na które Towarzystwo nie otrzymało żadnéj odpowiedzi. *

1. Odezwa z 14. I. 1889 L. 12 wniesiona do Mag. krak. i c. k. Dyr. Pol. w sprawie niszczenia ptactwa na Maślakówce.
2. Odezwa z 15. I. 1889 L. 16 wniesiona do Prez. Mag. kr. i z 26. I. 1889 L. 28 do Rady miejskiej i Komisyi sanitarnej w sprawie nowej instrukcyi dla oprawcy.
3. Odezwa z 13. III. 1889 L. 68 do c. k. Namiestnictwa w sprawie transportu drobiu.
4. Odezwa z 19. III. 1889 L. 83 do c. k. Starostwa w Myślenicach w sprawie dręczenia psa, używanego do ciągnienia ciężarów, przez tamtejszego masarza Szymona Klimasa.
5. Odezwa z 13. VII. 1889 L. 116 do c. k. Namiestnictwa w sprawie zakazu podskubywania gęsi.
6. Odezwa z 23. IV. 1889 L. 121 do c. k. Namiestnictwa w sprawie zakazu używania żywych gołębi do wabienia jastrzębi.
7. Odezwa z 10. V. 1889 L. 151 i z 5. VI. 1889 L. 196 do c. k. Dyr. Policyi w sprawie dręczenia konia przez dorożkarza Nr. 73.
8. Odezwa z 12. V. 1889 L. 161 do c. k. Dyr. Pol. w sprawie dręczenia konia przez p. Schönberga.
9. Odezwa z 29. IX. 1889. L. 200 do c. k. Starostwa w Nowymtargu w sprawie dręczenia psów używanych w Zakopanem do rozwożenia pieczywa.
10. Odezwa z I. X. 1889 L. 248 do Prez. Mag. krak. w sprawie zniesienia kagańców.
11. Odezwa z 3. X. 1889. L. 251 do c. k. Dyr. Pol. w sprawie ochrony psów używanych w Krakowie do rozwożenia nabiału, lodu itp. rzeczy.
12. Odezwa z 24. XII. 1889 L. 254 do c. k. Namiestnictwa w sprawie psów pociągowych.
13. Odezwa z 26. XII. 1889 L. 311 do Prez. Mag. w sprawie dręczenia nierogacizny na targach w Krakowie.

---

*) Odnośnie do artykułu zeszłorocznego „*Władze a krakowskie Stowarzyszenie ochrony zwierząt*“. Ob. *Opiekun zwierząt* z r. 1889, str. 138.

14. Odezwa z 28. XII. 1889 L. 313 do c. k. Starostwa w Krakowie i Tarnowie w sprawie dręczenia gęsi pędzonych pieszo gościńcem.

15. Odezwa z 29. XII. 1889 L. 314 do c. k. Namiestnictwa w sprawie powyższej, jakoteż transportu drobiu i podskubywania gęsi.

16. Odezwa z 30. XII. 1889 L. 325 do Prez. Mag. w sprawie zakazu wpuszczania zwierzyny i ptactwa duszonego i drobnego narybku na targi krakowskie.

17. Odezwa z 24. I. 1890 L. 344 do Rady miasta Krakowa w sprawie kagańców.

18. Odezwa z 3. II. 1890 L. 345 do członków Rady miejskiej w powyższej sprawie.

19. Odezwa z 18. II. 1890 L. 360 do Prez. Mag. w sprawie nadużyć oprawcy.

20. Odezwa z 20. II. 1890 L. 369 do Prez. Mag. w sprawie wózka dla oprawcy.

21. Odezwa z 24. II. 1890 L. 371 do komisyi plantacyjnej w sprawie dręczenia psów przez dozorców plantacyjnych.

22. Odezwa z 26. II. 1890 L. 374 do c. k. Dyr. Pol. w sprawie oparzenia kota ukropem i dręczenia konia przez J. Kawińskiego.

23. Odezwa z 10. IV. 1890 L. 411 do JWgo Delegata c. k. Namiestnictwa w sprawie kagańców i ryczałtowego wybijania psów nakazanego przez Mag. krak. obw. z 29. marca 1890 L. 7501.

24. Odezwa z 10. IV. 1890. L. 413 do c. k. Dyr. Pol. we Lwowie o udzielenie przepisów policyjnych wydanych r. 1887 dla Lwowa mających na celu ochronę ludzi i koni (liczba cegieł mających się brać na wozy jedno i dwu-konne).

Kalendarz myśliwski.

W kwietniu niewolno polować: na jelenie, kozły (rogacze), zające, jarząbki, bażanty, przepiórki, dzikie gołębie, tudzież na lisy; wreszcie od 15. kw. na dropie i pardwy, ptactwo błotne i wodne.

Przez cały rok niewolno polować: a) na łanie, kozy, cielęta i spiczaki, tudzież kury głuszców i cietrzewi, b) na zwierzęta alpejskie, świstaki i kozice, właściwe Tatrom.

Zakazane jest łowienie zwierzyny na sidła, żelaza, łapki i tym podobne przyrządy.

Polecamy następujące broszury:

Barański Ant. prof. Konie gospodarskie, ich wychów i utrzymanie. (Wyd. Macierzy pol.) Lwów. 1890. 64 str. — 10 ct.

Hostoński Karol. Pies, jego choroby i leczenie tychże. Z uwzględnieniem wścieklizny. — Lwów. 1889. Str. 95. — 80 ct.

Rohr Henryk, weterynarz. Bydłobójnie czyli rzezalnie. Wieliczka. 1890.

Redakcyją numeru zamknięto 14. kwietnia 1890 r.

Nakładem krak. Stow. ochr. zw. — W drukarni A. Koziańskiego w Krakowie.